



MALI ZŁODZIEJE

MARGARET OWEN

moondrive



MARGARET
OWEN

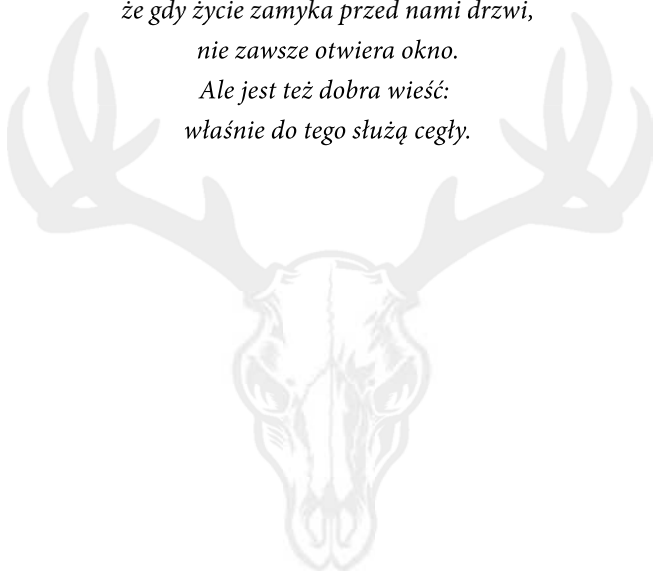
MALI
ZŁODZIEJE

TŁUMACZENIE PIOTR KUCHARSKI

moondrive

KRAKÓW 2024

*Do gremlinek:
chciałabym powiedzieć Wam coś inspirującego,
ale prawda wygląda tak,
że gdy życie zamyka przed nami drzwi,
nie zawsze otwiera okno.
Ale jest też dobra wieść:
właśnie do tego służą cegły.*





OD AUTORKI

Jest to opowieść o wielu rzeczach: pięknych i brzydkich, bolesnych i szczerych. Mówi się w niej o krzywdzeniu i zaniedbywaniu dzieci, o przetrwaniu w patologicznych środowiskach i o urazach psychicznych wynikających z prób napaści w przeszłości. Wielu z nas postrzega je jako rany, a ja starałam się je tutaj wyrazić w taki sposób, by nie rozrywać założonych z trudem szwów.

Ufam jednak, że znacie własne blizny.

*Mały złodziej kradnie złoto,
a wielki kradnie królestwa;
lecz tylko jeden z nich idzie na szubienicę.*
przysłowie almandzkie



A decorative border of stylized, light gray floral and leaf motifs surrounds the central text. The motifs are arranged in a repeating pattern along the edges of the dark gray background.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KLĄTWA ZŁOTA

A decorative border of stylized grey leaves and vines surrounds the text.

BAŚŃ PIERWSZA

MATKI CHRZESTNE



DAWNO, DAWNO TEMU, w najmroźniejszą noc przesilenia zimowego, w najmroczniejszym sercu lasu Śmierć i Fortuna stanęły na rozstaju dróg.

Dumne i niemożliwe do ogarnięcia rozumem, stały w śniegu gładkim niczym szkło, Śmierć w całunie utkanym z dymu ze stosu ofiarnego oraz cieni, Fortuna zaś w sukni ze złota i kości. Więcej rzec się o nich nie da, bowiem żadne dwie dusze nie postrzegają Śmierci i Fortuny w taki sam sposób, a jednak wszyscy je rozpoznajemy, gdy się z nimi spotykamy.

Tej nocy pewna kobieta przyszła właśnie w tym celu: żeby się z nimi spotkać. Jej loki o barwie marchwi wymykały się spod wełnianej czapki, zaś poczerwieniała od wiatru twarz była równie dotknięta czasem jak wytarta peleryna okrywająca jej ramiona. W jednej dłoni trzymała gasnącą żelazną latarenkę, której płomień pełgał ledwie na tyle, by światło mogło padać na płatki śniegu przemykające niczym świetliki, zanim wtopiły się z powrotem w ciemność.

Drugą dłoń zaciskała na strzępiącej się mitence małej dziewczynki stojącej obok niej.

– Proszę – odezwała się kobieta, drżąc w śniegu sięgającym jej do łokci. – Gonimy już resztkami sił, by nakarmić pozostałych dwanaście gąb, a ta tutaj... przynosi nieszczęście. Dokądkolwiek by się udała, tam mleko kwaśnieje, wełna się płacze, ziarno rozsypuje. Czegokolwiek dotknie, to popada w ruinę.

Dziewczynka się nie odzywała.

– Ona ma tylko... – Fortuna przekrzywiła głowę, a wieniec z monet na jej czole zamigotał i obrócił się z miedzi w węgiel i ze srebra w złoto. – Trzy lata? Dziesięć? Wybacz mi, ale nigdy nie wiem, jak to jest z wami, ludźmi.

– Cztery – rzekła Śmierć swoim łagodnym, mrocznym głosem, bowiem Śmierć zawsze wiedziała.

Fortuna zmarszczyła nos.

– Młoda. To stosowny wiek, by rozsypywać ziarno i niszczyć rzeczy.

– Jest trzynasta – nalegała kobieta, unosząc latarenkę wyżej, jakby próbowała wskazać upartej jałówce drogę do domu. Słaby blask padł na wieniec Fortuny, na wiotki rąbek kaptura Śmierci. – Zupełnie jak ja. A zatem jest trzynastą córką trzynastej córki. Jej przeznaczenie jest znaczone przez zgniliznę.

– Powiedziałaś swoim pozostałym dzieciom, że zabierzesz ją do lasu, by poznać jej los. – Bogini Dołu wysupłała monetę z wienca i posłała ją w tan po palcach, gdzie błyskała miedzią i srebrem, złotem i czernią.

– Tak naprawdę szukałaś mnie – dokończyła Śmierć swoim mrocznie aksamitnym głosem, a twarz kobiety skrzywiła się w grymasie wstydu. – A jednak odnalazłaś nas tu obie. Zaszłaś daleko w głąb ciemności i mrozu, żeby prosić nas o przysługę.

– Prosisz o błogosławieństwo Pani Szczęścia. Ryzykownie. Nie da się zgadnąć, na czym może ono polegać. – Oblicze Fortuny mieniło się na zmianę okrucieństwem i współczuciem, zaś moneta wciąż przeskakiwała pomiędzy zwinnymi palcami, błyskając nocą i dniem, czerwienią i bielą.

Śmierć natomiast nawet nie drgnęła.

– Znasz moje talenty, a zatem wiesz, że mogę wiele odebrać, a niewiele dać. Coś ci jednak powiem: tylko jedna z was wróci do domu.

Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze.

Fortuna uśmiechnęła się, a jej moneta zaśniła niczym słońce i śnieg, niczym cień i krew.

– Poszukiwałaś Śmierci w lesie. Czy przypuszczałaś, że droga powrotna okaże się prosta?

Kobieta milczała. Płomień w jej latarence jeszcze bardziej przygaśł.

– Proś – nakazała Śmierć. – Czego od nas chcesz?

Latarenka zadrżała w dłoni kobiety. Jej knykcie popękane były od odcisków i chłodu.

– Chcę tego, co najlepsze. Dla wszystkich.

– Wybieraj – poleciła znowu Śmierć. – Która z was wróci?

Kobieta puściła rączkę córki.

Fortuna uniosła podbródek dziewczynki. Ujrzała dwoje oczu o barwie najwyrazistszej czerni, osadzone w bladej, piegowatej twarzy, dwa warkocze koloru płomienia latarenki związane strzępkami szmat.

– Jak masz na imię? – spytała Śmierć, gdy kobieta obróciła się i uciekła z rozstaja dróg, zabierając ze sobą ostatki światła.

– Vanja – było pierwszą rzeczą, którą powiedziałam do swoich matek chrzestnych. – Mam na imię Vanja.

ROZDZIAŁ 1



GRY KARCIAŃE

Minęło niemal trzynaście lat, odkąd Śmierć i Fortuna zagarnęły mnie dla siebie, a ja przeszłam przez zimę i chłód na tyle daleko, że już niemal nikt nie nazywał mnie Vanją.

Łup-łup. Dwa stuknięcia knykciami otulonymi rękawiczką w dach powozu. Z zewnątrz dobiegł mnie stłumiony głos woźnicy:

– Już prawie jesteśmy, *prinzessin*.

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam. Już dawno nauczyłam się, że księżniczki nie są winne odpowiedzi swojej służbie.

Zaś przez większość ostatniego roku właśnie taką twarz nosiłam: księżniczki.

Czy też mówiąc precyzyjniej: Gisele-Berthilde Ludwili von Falbirg z księstwa Sovabin, *prinzessin-wahl* z Błogosławionego Cesarstwa Almandu. I wkrótce *markgräfin* Gisele to-wszystko-co-przedtem von Reigenbach z największego terytorium cesarstwa, granicznej marchii Bóern. Kiedy już jej margrabia w końcu ją poślubi.

No chyba że będę miała coś do powiedzenia na ten temat.

(Później do tego wrócimy).

Konie wiozły nas coraz bliżej celu, a ja zmrużyłam powieki, wyglądając przez okno o złożonym obramowaniu i przyglądając się wykonanym z drewna i gipsu fasadom budynków składających się na dwór Eisendorf. Cienie przemykały za szybami na parterze, przemieniając je w zaróżowione oczy mrugające do nas w mroźnym półmroku zmierzchu. Dobrze – księżniczka powinna być ostatnim z gości przybywających do von Eisendorfów. Nie bez powodu tak długo guzdrałam się w swojej sypialni w zamku Reigenbach – wyjeżdżając godzinę temu, chciałam być pewna, że utkniemy w największym ruchu w Minkji.

Miałam jednak lepszy pretekst, żeby przyglądać się scenerii posiadłości, niż tylko pilnowanie, by *prinzessin* przybyła modnie spóźniona. Na drugim piętrze było mniej rozświetlonych okien, mimo to zauważyłam dwa takie po obu stronach podwójnych drzwi umieszczonych w miejscu, gdzie z głównej sypialni wychodziło się na charakterystyczny wielki balkon.

Właściwe pytanie tego wieczoru brzmiało, czy jest to jedyny balkon.

Nie był jedyny. Po jego bokach widniały portfenetry. Światło latarni ozłacało wyłącznie jeden z nich, lało się z przyległego pokoju, najwyraźniej dzielącego spory kominek z główną sypialnią.

Ów kominek sapał obecnie dymem w stronę ciemniejszego nieba. Można by się zastanawiać, dlaczego von Eisendorfowie mieliby palić ogień w swojej sypialni, skoro przez cały wieczór byli zajęci zabawianiem gości na dole.

Postawiłabym trzy lite gildeny, że raczej ogrzewali sąsiednie komnaty gościnne, w razie gdybym ja... no dobrze, w razie gdyby *prinzessin* potrzebowała odetchnąć. Nie można było prze-gapić okazji do podlizania się narzeczonej margrabiego.

Można by się również zastanawiać, dlaczego w ogóle zawracałam sobie głowę kominkami, portfenetrami i podlizywaniem się. To dlatego, że tego wieczoru von Eisendorfowie podsuwali mi pod nos zupełnie odmienną szansę.

Byłaby wielka szkoda, gdyby którakolwiek z nich pozostała niewykorzystana.

W szybie ujrzałam niewyraźne odbicie swojego ironicznego uśmiešku. Chwilę później zniknęło, gdy mój oddech zamglił szkło w późnolistopadowym chłodzie.

Powinnam zachować ostrożność, oprzeć się z powrotem na siedzeniu i wrócić do pogodnej, pełnej wdzięku fasady *prinzessin*.

Zamiast tego oceniłam odległość, jaka pozostała nam do pierwszego wartownika, którego będziemy mijać, po czym na zaparowanej szybie szybko narysowałam parę charakterystycznych krzywizn. Dopiero później rozsiałam się wygodnie i przemieniłam ironiczny uśmiešek w łagodniejszy wyraz twarzy.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok strażnika, zobaczyłam, że stanął jak wryty. Szturchnął łokciem swojego kolegę i wskazał okno powozu, a ja byłam niemal pewna, że usłyszałam: „... dupa!”.

– I tak nikt ci nigdy nie uwierzy – mruknęłam pod nosem, gdy mgielka ulotniła się z szyby.

Stukot końskich kopyt wreszcie ucichł, gdy podjechaliśmy pod solidne dębowe wrota frontowe dworu. Zerknęłam pod przeciwną ławkę i upewniłam się, że moja nierzucająca się w oczy torba na przybory toaletowe wciąż jest tam schowana. Na razie miała tam zostać.

Następnie zamknęłam oczy, zachwiałam się wraz z powozem, gdy woźnica zeskoczył z kozła, i wyobraziłam sobie trzy zakryte karty do gry tańczące na stole. Nadeszła pora na rozpoczęcie mojej najstarszej gry: znajdź damę.

Prowadzeniu jej towarzyszyły liczne sztuczki, ale ta absolutnie najważniejsza była następująca: tylko jedna osoba powinna cały czas wiedzieć, gdzie jest dama. Tą osobą byłam ja.

Przeciągnęłam opuszkami palców po ciężkich, idealnych perłach wiszących mi na szyi. W zasadzie był to nawyk, bo zorientowałabym się, gdyby się rozpięły. Na pewno.

Drzwiczki powozu się otworzyły. W myślach odsłoniłam pierwszą z kart.

Prinzessin. Srebrne oczy, jasnozłote loki, nieskazitelne perły pod lodowatobłękitnym aksamitem i burgundowym brokatem, łagodny uśmiech z nutką tajemniczości. Nawet imię „Gisele” intrygowało, wymykało się twardemu almandzkiemu na rzecz bourgieńskiej wymowy o samogłoskach delikatnych jak miód i „G” miękkim niczym masło. Podobną pretensjonalną teatralność uwielbiała serwować dama von Falbirg, wiedziała bowiem, że ludzie tacy jak von Eisendorffowie będą się nią delektować.

Widzicie, właśnie w ten sposób rozpoczyna się gra. Krok pierwszy: pokaż im kartę, którą chcą znaleźć.

Prinzessin wysiadła z powozu niczym mara. Ezbeta i Gustav von Eisendorffowie czekali niecierpliwie w holu. Ich twarze rozświeciły się, gdy wreszcie ujrzeli, jak sunę w stronę ich otwartych drzwi. Oczywiście nie chodziło tylko o to, że przybywam wtedy, kiedy chcę, ale o dopilnowanie, że pozostali goście widzą, iż Ezbeta i Gustav czekają na mnie.

Wyłącznie ja dostrzegałam najpewniejszy znak, że ta noc przebiegnie bez zakłóceń, bo gdy Fortuna jest twoją matką chrestną, zawsze widzisz pracę jej rąk. Nikłe, mętne opary przypominające pył węglowy zbierały się wokół von Eisendorffów drżących z podniecenia w przedśionku. Był to omen zwiastujący nieszczęście, jakie zamierzałam sprowadzić na ich dom.

Hrabia i hrabina von Eisendorffowie świętowali tego wieczora swoją dwudziestą rocznicę – a przynajmniej ją upamiętniali. „Świętowanie” mogło być zbyt mocnym określeniem. Chcę przez to powiedzieć, że nie bez powodu *komtessin* Ezbeta już teraz miała zarumienione policzki i wciskała puchar za wazon stojący na kredensie w westybulu.

Kryło się w niej coś, co zawsze kojarzyło mi się z bocieniem, choć nigdy nie zdołałam określić dlaczego. Miała bladą skórę niczym większość mieszkańców Błogosławionego Cesarstwa, zwyczajne brązowe włosy i ostre rysy... Aha! Już wiem.

Ezbeta zwykła wskazywać podbródkiem, a przy jej długiej szyi i tendencji do przekrzywiania głowy sprawiało to wrażenie, jakby rozglądała się po okolicy w poszukiwaniu żaby do pochwycenia.

Odziała się tak, żeby co najmniej olśniewać, a na jej nadgarstkach i szyi lśniła niewielka fortuna w złocie i szmaragdach. Wydawało się niemal pewne, że to najcenniejsza biżuteria, jaką posiada. Lekko świerzyły mnie palce. Być może to kolejna okazja.

– Och, *markgräfin* Gisele, jakże dobrze, że pani przyjechała! – Jej głos niósł się niczym dźwięk trąby. Usłyszałam, jak przez zgromadzony w środku tłum przebiegł ulotny szmer podeksytowania, kiedy hrabina zamiotła w ukłonie leśnozieloną aksamitną suknię.

– To było wielce uprzejme z waszej strony, że mnie zaprosiliście – odparłam, wyciągając dłoń do Gustava.

Wgniół wargi w moje knykie obciążone jelenią skórą.

– Cała przyjemność po naszej stronie.

Komte Gustav wyglądał niczym pomarszczony ghul obleczony w tunikę na tyle kosztowną, by wykarmić całą wioskę Eisendorf w trakcie Zimowego Postu, a jednak, co niesamowite, nijak nie uszlachetniało to kałuży szczyń znajdującej się w miejscu, gdzie powinna być jego osobowość. Podobnie jak wilgotna plama, jaką zostawił na mojej rękawiczce.

Oswobodziłam się i żartobliwie puknęłam palcem czubek nosa Ezbety.

– Jeszcze nie jestem *markgräfin*. Najpierw mój ukochany Adalbrecht musi wrócić i uczynić mnie najszcześniejszą kobietą w Błogosławionym Cesarstwie.

Mój ukochany oblubieniec, Adalbrecht von Reigenbach, margrabia rozległej marchii Bóern, cały okres naszego narzeczeństwa spędzał w swojej części południowych i wschodnich terenów granicznych Błogosławionego Cesarstwa Almandu. Wszczywał potyczki jak typowy szlachcic o podejściu „najadę

sobie na królestwo, bo papa mnie nie kochał”, a ja przez cały ten czas czekałam w jego zamku. I jeśli zależałoby to ode mnie, mógł sobie tam zostać.

– No cóż, już jesteś wielce szczodra – wdzięczyła się w uśmiechach *komtessin* Ezbeta, gdy sługa odbierał ode mnie pelerynę i rękawiczki. – Poduszki, które przysłałaś, są absolutnie boskie!

– Nie mogłabym pozwolić, żeby taka okazja obyła się bez podarunków. Cieszę się, że dotarły bezpiecznie. – Nie było to nawet kłamstwo, bo naprawdę się cieszyłam. Tyle że nie z powodu, jakiego się spodziewali. – A czy korzenny miód pitny również przypadł wam do smaku?

Gustav odchrząknął.

– W istocie – rzekł, lekko wstrzymując oddech. – Miałem ochotę zaserwować go tego wieczoru, ale okazało się, że mojej żonie... posmakował w stopniu znaczącym.

– Nie mogę nic poradzić na to, że księżniczka Gisele ma doskonały gust. – Ezbeta puściła oczko. Na świętych i męczenników, jeśli już teraz była na tyle napruta, żeby do mnie mrugać, to może po prostu sama odda mi ten absurdalny naszyjnik, zanim jeszcze przyjęcie dobiegnie końca. – Wchodź, wchodź! Wszyscy na ciebie czekają!

Pozwoliłam jej się wprowadzić do głównego salonu rezydencji, przepełnionego pomniejszą szlachtą. Większość tłumu stanowili rycerze i ziemianie służący hrabiostwu, ale von Eissendorffowie zdołali również ściągnąć paru równych im rangą wasali Adalbrechta. Dostrzegłam *komte* Erharda von Kirchstadtlera wraz z małżonkiem oraz damę Annę von Morz w śliwkowym satynowym okropieństwie, które od biedy dałoby się nazwać suknią. Nawet ministra Philippa Holbein przybyła do Bóern z pobliskiego Wolnego Cesarskiego Państwa Okzberg.

Rozglądałam się za jedną konkretną twarzą i z ulgą stwierdziłam, że jest nieobecna. Być może matka chrzestna Fortuna przechyliła szalę na moją korzyść, albo też Irmgard von Hirsching

uznała, że jest zbyt dobra, by upijać się wraz z von Eisendorfami. W każdym razie miałam jeden problem z głowy na ten wieczór.

– Mam nadzieję, że strażnicy nie sprawili ci zbyt wielu problemów, *prinzessin* – zagruchała pani von Morz, powoli podchodząc do mnie z pucharami *glohwein* w dłoniach. Spróbowała przekazać mi jeden z nich i przez chwilę nie wiedziałam, co zrobić z rękoma, dopóki nie chwyciłam pewnie naczynia. – Doprawdy, Gustavie, nawet margrabia nie ustawia tyłu żołnierzy przed swoimi wrotami.

Gustav zaświszczał z niezadowoleniem.

– W obecnych czasach nie istnieje coś takiego jak nadmierna ostrożność. Powiadają, że von Holtzburgowie stracili niemal pięćdziesiąt gildenów przez Fenigową Zjawę.

Wszyscy aż się zachłysłiśmy. Nie była to błaha kwota; wprawny kupiec miałby szczęście, gdyby zgromadził pięćdziesiąt gildenów przez kwartał.

– Nie miałam pojęcia, że *Pfennigeist* ich również zaatakowała – powiedziałam, otwierając szeroko oczy.

Ezbeta przytaknęła, nachylając się bliżej.

– Och, tak. Dwór Holtzburg został obrabowany w styczniu, ale jego mieszkańcy nie wiedzieli, co oznacza czerwony fenig, dopóki wdowa von Folkenstein nie oznajmiła, że i u siebie takiego znaleźli. Uważamy, że von Holtzburgowie mogli być pierwszymi ofiarami.

– Jakież to potworne – mruknęłam. – A ich baliw niczego nie odkrył?

– Nie. Zaklina się, że tylko duch albo grimling zdołałby dokonać włamania, nie pozostawiając żadnych śladów. – Zabarwiona uciechą litość na twarzy hrabiny stężała w przesłodzony wyraz pocieszenia. – Nie lękaj się jednak, księżniczko Gisele. Podjęliśmy wszelkie środki ostrożności, tak jak ci obiecaliśmy. *Pfennigeist* nie zdoła zabrać choćby guzika z twojej sukni.

Dama von Morz prychnęła do swojego *glohwein*. Nikt nigdy nie złapał Fenigowej Zjawy. Nawet mój narzeczoną nie zdołał

powstrzymać tej zmyły przed wtargnięciem do zamku Reigenbach, gdzie pokojówka Marthe odnalazła moją pustą szkatułkę na biżuterię, a w jej środku samotnego czerwonego feniga pozostawionego w charakterze wizytówki.

Skoro udało się przedostać nawet przez mury margrabiego, to jakie szanse mieli von Eisendorfowie przeciwko takiej istocie?

Chodziłam wśród zebranych, ściskając dłonie i podziwiając stroje, a także dyskretnie opróżniając puchar do wazonu, gdy nikogo nie było w pobliżu. Robiłam to tylko po to, by wszyscy widzieli, jak gestami domagam się od służby wielu, naprawdę wielu dolewek. *Komte* von Kirchstadtler chciał wiedzieć, kiedy odbędzie się wesele (nie przed powrotem Adalbrechta), niedawno poślubiona Sieglinde von Folkenstein trąkotała mi do ucha, jak kiepsko czuje się porankami (zapamiętałam sobie, żeby zlecić wykonanie dziecięcej grzechotki), zaś ministra Philippa Holbeina przeprosiła za nieobecność małżonka.

– Kalsang po szabasie jest do tyłu z pracą papierkową. – Westchnęła, machinalnie muskając kciukami frędzle białych jedwabnych sznurów splecionych ze sobą i zwieszających się jej z ramion. Członkowie kongregacji Domu Góry zazwyczaj nosili sznury tylko na czas modlitw szabasowych, jednak niektórzy urzędnicy publiczni zwykli miewać je na sobie dzień i noc.

Przypuszczałam, że z tego samego powodu jej mąż, mało-mówny gharyjski kupiec herbaciany znacznie lepiej czujący się w domu wraz z ich dwoma małymi psami apso, wymówił się od tego przyjęcia. Konieczność zetknięcia się ze zgrają podpitych almandzkich arystokratów rywalizujących o miano najbardziej zadufanego w sobie sprawiłaby, że każdy modliłby się o niebiańską interwencję.

Mnie jego nieobecność nie przeszkadzała. Lubiłam Kalsanga i Philippę. Dobrze wiedziałam, co czeka dwór Eisendorf, i wołałabym, żeby ich rola w tym wszystkim okazała się minimalna.

Resztę godziny poświęciłam na gadki o niczym i udawanie picia *glohwein* tak, jakby mogło to leczyć ropsie (nie żeby

księżniczka Gisele kiedykolwiek miewała niedoskonałości na skórze, o to dbały perły). Przez cały ten czas miałam baczenie na *komtessin* Ezbetę.

Wreszcie dostrzegłam okazję i zaczęłam przemieszczać się w stronę drzwi salonu.

– Nieee, Gisele. – Dłoń wczepiła się w mój brokatowy rękaw: Ezbeta połknęła przynętę. Do tej pory wypila już przynajmniej jeden kielich *glohwein* na każdy szmaragd lśniący w jej ciężkim naszyjniku. Czyli mniej więcej o siedem więcej niż ja, a jeśli oceniać po jej rozpalonej twarzy, o jakieś pięć za dużo.

Właśnie dlatego odczekałam aż do tej pory, żeby skierować się do wyjścia, bo wiedziałam, że w stanie podchmienienia zrobi scenę.

Rzecz jasna, Ezbeta nie zawiodła mnie.

– Nie możesz nas zostawić tak szybko! Zaplanowaliśmy pięciodaniową kolację tylko dla ciebie!

Można by się zastanawiać, dlaczego postanowiłam zesać takie nieszczęście na swoich uprzejmym gospodarzy. I dlaczego akurat tego wieczoru, w ich rocznicę? Dlaczego na nich, skoro niczego nie pragnęli bardziej niż mnie zadowolić?

A prawda w tej kwestii wyglądała następująco: gdyby ujrzeli mnie bez pereł i bez twarzy *prinzessin*, gdyby mieli jakiegokolwiek pojęcie, kim naprawdę jestem, ani trochę by ich nie obeszło, czy zostanę na kolację, czy też będę ją sobie wygrzebywać z koryta dla świń.

Właśnie dlatego.

Czknęłam jej w twarz, po czym się rozchichotałam. Moje rozdęte spódnice zaszeleściły, gdy zachwiałam się w miejscu niczym statek w niespokojnej przystani.

– Oczywiście, że nie wychodzę, ty niemądra gąsko! Po prostu potrzebuję... potrzebuję... – urwałam, zakręcając na palcu kosmyk jasnych włosów. Puchar *glohwein* zakołysał mi się w drugiej dłoni i kilka kropel wylało mi się na sukienkę. Nie aż tyle, by ją zniszczyć, rzecz jasna, lecz jedynie, by sprawić

wrażenie, że jestem przynajmniej równie pijana jak dobra *komtessin* Ezbeta.

Jak mogłam się spodziewać, dama von Morz rzuciła mi rozbawione spojrzenie i mruknęła coś do *komte* von Kirchstadtlera.

– Co ja takiego mówiłam? – spytałam, przesuwając sennym wzrokiem po pomieszczeniu.

– Chyba powinnaś się na chwilkę położyć – zaproponowała *komtessin* Ezbeta – żeby dojść do siebie, zanim zaczniemy wieczerać. Mamy wspaniałą sofę w saloniku gościnnym. HANS!

Połowa obecnych wzdrygnęła się i spojrzała w naszą stronę. Ezbeta była zbyt pijana, żeby to zauważyć. Wykorzystałam okazję, żeby poklepać się po policzkach, jakbym zdumiewała się tym, jak są ciepłe. Tak naprawdę miałam je pokryte różem pod warstwą talku, zatem gdy go zmasałam, zarumieniłam się jak Ezbeta. Wszyscy na nas spoglądali, więc na wszelki wypadek raz jeszcze niewyraźnie zachichotałam.

Chciałam, by wszyscy goście ujrzeli całą tę kłopotliwą sytuację i uznali, że wykluczenie Gisele von Falbirg z przyjęcia będzie rozsądnym posunięciem. Chodziło o ściągnięcie *prinzessin* ze sceny. Potrzebowałam dla siebie dwudziestu minut, a jako że Gisele nie mogła opuścić przyjęcia niezauważenie, odejdzie z wiarygodnym wytłumaczeniem.

– HANS! – zagrzmiała znów Ezbeta. Udręczony mężczyzna w liberii służącego znalazł się już u jej boku i skrzywił, gdy jego imię zostało wytrąbione jak z rogu myśliwskiego.

– Czego życzy sobie moja pani? – zapytał z ukłonem.

– Odeskortuj *mar...* – Zdezorientowanie rozmyło rysy hrabiny, gdy próbowała przypomnieć sobie odpowiednią formę zwracania się do mnie. Właściwie niemal było widać, jak dokonuje w głowie obliczeń. Za wcześniej na *markgräfin*, jeszcze nie księżniczka-elektorka – można było powiedzieć, że znajduję się pomiędzy tytułami. Postanowiła zagrać bezpiecznie: – Odeskortuj księżniczkę do salonu gościnnego.

Wzięłam Hansa pod rękę i chwiejnie ruszyłam ku drzwiom, ukrywając uśmiech. Ezbeta von Eisendorf pomyliła się dziś wieczorem w wielu kwestiach. Nie byłam pijana. Nie musiałam się kłąć.

Nie byłam Gisele-Berthilde Ludwilą von Falbirg.

Ale w jednym miała słuszość – dla nich wszystkich wciąż byłam Gisele, a nie uzurpatorką z chłopskiej rodziny. To zaś oznaczało, że póki co nazywali mnie *prinzessin*.

Dla ostatecznego efektu porzuciłam puchar z *glohwein* na stoliku przy drzwiach, stawiając go nieostrożnie na skraju. Brzęk, który rozległ się chwilę później, powiedział mi, że naczynie spadło na podłogę.

Teraz wszyscy zebrani będą zaklinać się na Bogów Dołu i Góry, że tego wieczoru Gisele von Falbirg spiła się do utraty świadomości i bezsprzecznie była niezdolna do łajdactw, jakie nastąpią.

Biedny Hans musiał znieść chwiejny spacer ze mną przez kiepsko oświetlone górne korytarze dworu Eisendorf, kiedy to wyśpiewywałam pochwały wobec jego pana i pani. Skwaszony wyraz jego twarzy mówił mi, że te peany uważał za zupełnie bezpodstawne. Nie dziwiło mnie to.

– Marthe – wybełkotałam, gdy otworzył drzwi do saloniku gościnnego.

Pokojówka dokładała akurat drew do ognia buzującego w kominku, ale szybko umknęła, gdy służący podprowadzał mnie do sofy, którą chełpiła się Ezbeta. Była naprawdę ładna, z tapicerowanego aksamitu o barwie wiosennej zieleni, ogrzanego blaskiem ognia.

Co więcej, ozdobiono ją poduszkami o złotych frędzlach, które posłałam im w prezencie rocznicowym. Zupełnie tak jak oczekiwałam.

Osunęłam się bez wdzięku na sofę i zamachałam do Hansa.

– Moja pokojówka, Marthe... Przyprowadź mi ją. Będzie w pomywalni. Albo w kaplicy, sądząc po jej pobożności.

Ma na sobie... – Wykonałam bliżej nieokreślone gesty w kierunku swojej głowy, wbijając szklisty wzrok w sufit. – Czepek. W niebieskim odcieniu Reigenbach. Potrzebuję jej natychmiast.

– Oczywiście, *prinzessin*. – Hans skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi saloniku.

Czekałam nieruchomo, wstrzymując oddech, aż urywany stukot jego kroków znikł w głębi korytarza.

Następnie sturlałam się z sofy na podłogę. Zadarłam spódnice, by uwolnić mały nóż wciśnięty w elegancki skórzany but.

Na ten pierwszy etap miałam przynajmniej pięć minut, najwyżej dziesięć. Gdy ostatnim razem gościłam von Eisendorfów, Gustav nie mógł przestać gadać o ich nowej kaplicy, zatem wiedziałam, że leży po przeciwnej stronie dworu niż pomywalnia. Jaka szkoda, że Hans nie znajdzie Marthe w żadnym z tych miejsc. To zaś oznaczało, że zostało mi minimum pięć minut, zanim wróci, żeby przeprosić za niewykonanie polecenia.

Chwyciłam jedną z przysłanych przez siebie poduszek i rozciąłam ją ostrożnie. Bawełniane wypełnienie wyjrzało z rozcięcia. Gdy sięgnęłam do środka, znalazłam małą lnianą torebkę ściąganą tasiemką, szarfę z ciemnej tkaniny i dwie poszewki takie jak ta, którą właśnie rozciąłam, identyczne włącznie z jedwabnymi frędzlami.

Drugą poduszkę wypatroszyłam równie szybko. Tym razem z wnętrza wyciągnęłam lnianą halkę i prostą stalowoniebieską wełnianą sukienkę służącej, które wcisnęłam tam przed przekazaniem prezentów von Eisendorfom. W jeden z rękawów wsunęłam wcześniej ciemnoszarą chusteczkę. W drugim znajdował się skromny czepek w charakterystycznym dla Reigenbachów odcieniu niebieskiego.

Pięć minut później nowe poszewki zostały wypchane moją wierzchnią halką, spodnią koszulą i wprawnie złożoną suknią, większością mojej biżuterii oraz okazałą garścią biżuterii innych osób. Wąską złotą bransoletą Anny von Morz, świeższą, gdy podawała mi *glohwein*. Kolczykiem ministry Holbein, by

pomóc jej uniknąć podejrzeń. Pierścionkami i błyskotkami wyluskanyimi z tłumu, akurat w wystarczającej ilości, by im uświadomić, że pomiędzy nimi przeszedł ktoś o lepkich dłoniach.

Istniała szansa, że obwinia służbę dworu Eisendorf. Zdarzało się tak już wcześniej. Przybędzie baliw, ustawi ich w szeregu, przetrząśnie ich sienniki i każe im wyrzucić kieszenie. Jednak nawet jedno cacuszko nie upadnie na kamienne płyty podłogi, zatem odejdą mniej lub bardziej bez szkody.

A ja wiedziałam aż za dobrze, że zdecydowanie nie jest to najgorsza rzecz, jaka może spotkać służbę.

Zniszczone poszewki wcisnęłam do kominka, gdzie niemal natychmiast stanęły w ogniu, a od płonącego jedwabiu dobiegła delikatna woń palonych włosów. Próbując jej nie wdychać, splotłam warkocz i wsunęłam go pod czepek. Jedna ze spopielających się poszewek miała też na sobie smugi od pudru pokrywającego mi twarz, bowiem żadna pokojówka nie miałaby czegoś podobnego na policzkach... i tak oto mój czas jako *prinzessin* dobiegał końca.

Ostatnia rzecz wymagała jednak lustra – nie dlatego, że musiałam widzieć, co robię, tylko dlatego, że musiałam mieć pewność, że wszystko idzie po mojej myśli. Na szczęście Gustav von Eisendorf niczego nie uwielbiał bardziej niż popisowywania się, zatem w jego gościnnym saloniku nie brakowało kosztownych zwierciadeł pokazujących całą sylwetkę.

Stanęłam przed najbliższym z nich i przyjrzałam się swojemu odbiciu. Od szyi w dół byłam pokojówką w nierzucającym się w oczy stroju z Reigenbach. Wypełniałam go przyjemnie krągłościami, które zostałyby określone jako obiecujące u niemal siedemnastoletniej panny jak ja. Kilka kosmyków platynowych włosów wyryło się spod niebieskiego czepka, sięgając podbródka, a srebrzyste oczy mrugały do mnie z twarzy w kształcie serca. Nawet bez pudru czy różu bliźniacze pąsy rozkwitały na gładkich, jasnych jak kość słoniowa policzkach, a zadziorne wargi rumieniły się naturalnym perłoworóżowym blaskiem.

Włosy niczym światło słońca, oczy jak światło księżyca, czyli dwa kluczowe znaki rozpoznawcze dziewczyny znanej w mar-chii Bóern jako Gisele von Falbirg.

Podobnie jak jej charakterystyczny naszyjnik z idealnych pereł.

Sięgnęłam do karku i rozpięłam go. Efekt był natychmiałowy.

Moja twarz wydłużyła się, wysmukliła, obsypała się piegami, oczy pociemniały do czerni, swobodne kosmyki nabrały rdzawopomarańczowego poblasku. Sukienka służącej zwiśla nieco luźniej, choć po ostatnim roku, gdy wreszcie mogłam się najadać do syta, przybrałam na wadze. Stała się też nieco dłuższa, bo nawet porządne jedzenie nie było w stanie zastąpić centymetrów, które straciłam na kiepskim prowiancie w zamku Falbirg.

Byłam pospolita. Przeciętna. Perfekcyjna służąca, którą by-łam dla Gisele przez dziesięć lat.

Wsunęłam perły do kieszeni i starannie zapięłam ją na guzik. Nie zamierzałam ryzykować zostawiania ich w poduszce. Nie, jeśli byłam już tak bliska tego, żeby na resztę życia uwolnić się od nich i od Gisele.

Jak na zawołanie w korytarzu rozległy się kroki Hansa. Zgarbiłam się, opuściłam głowę i wyslizgnęłam się przez drzwi, przybierając na twarzy wyraz nerwowego zmartwienia.

W moim umyśle odwróciła się druga karta: Pokojówka Marthe.

– Tutaj jesteś – powiedział Hans. – Marthe, ja?

Wzdrygnęłam się, jakby mnie wystraszył, po czym zamknęłam za swoimi plecami drzwi do saloniku i dygnęłam. Mój głos stał się wyższy i cichszy, nabrał chrypki.

– Przepraszam. Wygląda na to, że moja pani posłała jeszcze kilka osób, by mnie znalazły. Obawiam się, że spotkał ją... – obserwowałam, jak do Hansa dochodzi woń palonego jedwabiu – wypadek – dokończyłam z wystarczającym poirytowaniem, by zasugerować, że nie jest to coś niezwykłego. Oblicze mężczyzny

złagodniało w poczuciu koleżeństwa. – Nie mogę jej zostawić, ale potrzebuję swojej torby z przyborami toaletowymi z powozu.

Hans westchnął i ściszył głos:

– W porządku, przyniosę ją. I jeśli ta rozpuszczona von Falbirg ma mieć jakieś kolejne wypadki, spróbuj dopilnować, by nie okazały się one kosztowne.

Znowu dygnęłam.

– Dziękuję. – Gdy ruszył znów korytarzem, wsunęłam się z powrotem do saloniku i zawołałam pijackim głosem Gisele: – Marthe! Na Błogosławione Cesarstwo Almandu, co ci zajmuje tak długo?

Niewątpliwie było to wystarczająco głośnie, by Hans usłyszał. Jeśli był sumienny, pogna do powozowni, która leżała jeszcze dalej niż nowa kaplica.

Ale jeśli był równie złośliwym służącym jak ja w zamku Falbirg, to nie będzie się spieszył.

Przynajmniej dziesięć minut. Najwyżej piętnaście.

Pokojówka Marthe i Księżniczka Gisele wróciły do swojego tańca na stoliku w mojej wyobraźni, gdzie otaczały trzecią i ostatnią kartę, której jeszcze nie odsłoniłam.

Wiecie, właśnie w ten sposób zwycięża się w grze. Pokaż im to, co chcą zobaczyć, pozwól im uwierzyć, że mogą wygrać, niech śledzą wzrokiem karty. Utrzymuj ich spojrzenie tam, gdzie go potrzebujesz.

I nigdy, przenigdy nie trać prawdziwego celu z oczu.

Wymieniłam czepek na matowoszarą chustkę, by zasłonić swój nieszczęsny jaskraworudy warkocz. Następnie podniosłam lnianą torebkę ściąganą tasiemką i włożyłam ją do innej kieszeni, wyczuwając w jednym z rogów znajomy ciężar: samotnego czerwonego feniga.

Był tam. I nadszedł czas.

Obróciłam ostatnią kartę. Był to przemieszczający się cień, niewyraźna sylwetka w mroku nocy, pozbawione twarzy widmo. Mógł to być duch. Mogło to być cokolwiek.

Ostatecznie... nikt nigdy nie widział *Pfennigeist*.

Dawno, dawno temu była sobie dziewczyna równie przebiegła jak lis zimą, równie wygłodniała jak wilk podczas pierwszego przymrozku, równie zimna jak lodowaty wiatr każący im rzucać się sobie do gardeł.

Nie miała na imię Gisele, nie miała też na imię Marthe ani nawet nie *Pfennigeist*. Miałam – mam – na imię Vanja. A to jest opowieść o tym, jak zostałam schwytana.